

[<<< powrót do spisu treści](#)

Tomasz Różycki

Próba ognia. Czy książki latają?

Te notatki są raczej rozproszonymi fragmentami, o których myślę, że czasem przypadkowo lub nie odslaniają stopniowo swoje podobieństwo, dając złudne wrażenie sensu. Istnienie, którego nieskończoną różnorodność tropimy, ma przecież w swych odmiennościach jakieś elementy podobne do siebie, z których można ułożyć niezwykle pokrętny, ale fascynujący wzór.

W 2003 roku, w maju, półtorej roku po śmierci mojego ojca, pojechałem do Lwowa. Była piękna wiosna, odbywał się międzynarodowy festiwal literacki. Byłem we Lwowie po raz pierwszy w życiu. Poszedłem na małą uliczkę Leśną, odchodzącą od Łyczakowskiej i wspinającą się kocimi łbami na Kajzerwald szukać domu ojca. Pod numerem siódmym znalazłem miłą starszą panią, a właściwie to ona znalazła mnie: wystawała od rana na balkonie i obserwowała przechodniów – zauważywszy mnie przyglądającego się z dołu kamienicy, zaprosiła do środka i pokazała zdjęcia syna, piłkarza, z którego była dumna: w całym mieszkaniu, podzielonym na inne, mniejsze, pokoje było mnóstwo piłek i pucharów zdobytych przez piłkarza w najróżniejszych mistrzostwach i zawodach. Nie rozpoznawałem mężczyzny na zdjęciach – nic mi nie mówiło jego nazwisko, powtórzone sto razy przez miłą staruszkę. Wyszedłem na balkon: o wyciągnięcie ręki były gałęzie czereśniowego drzewa, o którym kiedyś opowiadał ojciec – zdaje się, że sporo urosło od tamtych czasów, kiedy zrywał z niego jako sześciolatek po raz ostatni czereśnie. Starsza pani mówiła o synu, o tym, że być może przebywa gdzieś teraz w mieście w stanie nietrzeźwości, a jest trenerem dla młodzieży piłkarskiej i ona trochę martwi się. Sama ma zamiar wyjechać stąd, sprzedać mieszkanie i przenieść się z synem do Kijowa. Tu nie można żyć, dokoła w kamienicy mieszkają sami Moskale, sprowadzone tu zaraz po wojnie rodziny oficerów gdzieś spod Moskwy. Może zechcę kupić mieszkanie? Dyszewo, właściwie nawet za bezdurno.

Mój przyjaciel, Jacek, doskonale obeznany z piłkarską historią, objaśnił mi potem, kto to taki Andrij Bal – tak nazywał się ów piłkarz, legenda radzieckiego i ukraińskiego futbolu - człowiek, który w 1982 roku na Mundialu w Hiszpanii strzelił gola samej Brazylii, to było osiągnięcie jego życia (słynny z nim potem wywiad, cytowany przez wszystkie telewizje: co wtedy czuleś? Usłyszałem od kolegi, który podawał mi piłkę: Dawaj! Dawaj! no to pomyślałem: Daju!). Na pytanie, zadawane mi potem na festiwalu, skąd znam to nazwisko, odpowiadałem zgodnie z prawdą, że mieszka on teraz w mieszkaniu mojego ojca. Wywołało to poruszenie wśród moich ukraińskich znajomych, mówili potem o tym między sobą - ich wersja brzmiała jednak tak: w mieszkaniu Andrija Bala przed wojną mieszkał ojciec Różyckiego.

Wszystko się zgadzało: ulica, od Łyczakowskiej odchodząca zaraz przy Kościele Św. Antoniego, o wspaniałej, barokowej fasadzie, przy której za sowieckich czasów kręcono radziecką wersję *Trzech muszkieterów*, ponieważ w całym Sojuszu jeden był tylko taki „paryski” kościół. Potem kocie łby prowadzące na Kajzerwald, gdzie kamienice ustępują domkom z ogródkami i wśród drzew czereśniowych, wiśni i bzów wchodzimy na ścieżkę wijącą się na szczyt, porośniętą trawą, miejsce częstych pikników i biesiad. Widać stamtąd miasto w dole i zielone wzgórza otaczające je – na większości z nich szare i brzydkie blokowiska z sowieckich czasów, zamykające miasto pierścieniem.

Kawałek dalej, pod numerem 6 na tej samej ulicy Leśnej we Lwowie przed wojną mieszka architekt inżynier Barenblüth, którego żoną była Debora Vogel, pisarka i przyjaciółka Brunona Schulza – jedna z ważniejszych kobiet w jego życiu, niedoszła jego żona i wieloletnia korespondentka. Barenblüthowie zostali zamordowani w akcji likwidacji przez Niemców lwowskiego getta w sierpniu 1942 wraz z matką Debory i kilkuletnim synkiem. W mieszkaniu, przejętym po wojnie przez jakąś rodzinę, pozostały papiery, przeniesione przez nowych mieszkańców do piwnicy, a wreszcie, po dwudziestu latach, spalone wraz z „innymi szpargałami” na podwórku na miesiąc przed tym, kiedy dotarł na Leśną w poszukiwaniu papierów po Schulzu w latach sześćdziesiątych Jerzy Ficowski, nieoceniony badacz i poszukiwacz twórczości autora *Sklepów cynamonowych*. Ficowski zastanawiał się, co tam mogło być: pisma Debory, pamiątki rodzinne, korespondencja z Schulzem, przesłany jej przez niego manuskrypt najbardziej legendarnej widmowej książki dwudziestego wieku, pod tytułem *Mesjasz*?

„Rękopisy nie płoną” – napisał co prawda Bułhakow w momencie, kiedy płonęły rękopisy w całym Związku Sowieckim, jak długi i szeroki. Czy był tam *Mesjasz*, powieść zapowiadana przez Schulza i podobno przesłana z Drohobycza na przechowanie gdzieś w „bezpieczne miejsce” niedługo przed tym dniem, w którym gestapowiec zastrzelił Schulza na drohobyckiej ulicy. Co było wśród papierów?

W Museo Prado w Madrycie znajduje się obraz Pedro Berruguete, pod tytułem *Święty Dominik i albigenski*, znany też jako *Próba ognia, El Pruebo del fuego*. Obok św. Dominika widać na nim kilku ludzi świeckich i duchownych obserwujących manuskrypty i księgi wrzucone do ognia. Niektóre z nich płoną, a niektóre unoszą się ponad płomieniami i latają. Przedstawia legendarny, cudowny epizod z życia Domenigo Guzman, czyli późniejszego św. Dominika: posłany jako misjonarz papieski w gronie cystersów do południowej Francji miał wziąć udział w dyspucie z przywódcami duchownymi katarów (nazywano ich także albigensami od niedalekiego miasteczka Albi, gdzie mieli wielu zwolenników), heretyków nieposłusznych papieżowi. Spotkanie odbyło się w Fanjeaux, choć wciąż trwają spory, czy czasem nie spotkali się w sąsiednim miasteczku Montreal, które także chciałoby mieć powód do dumy i uwiecznienia. Dysputa trwała bardzo długo, jak relacjonuje to w swoim *Libellus* błogosławiony Jordan z Saksonii, następca Dominika we władzach późniejszego zakonu dominikanów. Obaj biskupi z gronem sekretarzy zamknęli się na dwa tygodnie w kaplicy i postanowili nie wychodzić, dopóki nie przekonają adwersarza. Jednak żadna ze stron – ani przysłani przez papieża cystersi na czele z biskupem Diego d’Osma i asystującym mu Dominikiem, powołującym się na przywiezioną ze sobą bibliotekę teologiczną, ani katarzy, na czele z ich biskupem Guilhabertem z Castres, wspomagani swoimi zapiskami i księgami – nie mogła przekonać drugiej i zdecydowanie obalić jej argumentów. Ostatecznie, jak twierdzi Jordan, zdecydowano się więc, aby spór rozstrzygnął sam Bóg poprzez próbę ognia.

Zwyczaj ordalii, czyli sądu bożego, praktykowany powszechnie i wielokrotnie zakazywany w średniowieczu przez władców i Kościół, praktykowany i zakazywany później także przez najbardziej oskarżaną o wykorzystanie jej inkwizycję, znał kilka rodzajów prób. Najczęściej opisywaną był pojedynek obu stron, ale istniała też próba zimnej i wrzącej wody, a także próba ognia, w której oskarżony mógł udowodnić swoją niewinność, jeśli przeszedł przez ogień nie doznawszy poparzeń. Próba ognia często była utożsamiana z próbą rozpalonego żelaza, kiedy ten, który chciał udowodnić swą prawdomówność, na dowód ścisłał rozpalony do czerwoności metal. Jedną z najbardziej znanych ofiar tej próby był niejaki Pierre Barthelemy z Marsylii, mnich i rycerz pierwszej krucjaty, który twierdził, że św. Andrzej objawił mu miejsce spoczynku Włóczni Przeznaczenia i rzekomo odnalazł ją później pod posadzką kościoła w Antiochii. On to, kiedy zarzucano mu kłamstwo w sprawie włóczni, poddał się próbie ognia, powołując się na opiekę Jezusa i św. Andrzeja, wszedł w

Wielki Piątek 1099 roku w płomienie i doznał tak wielkich poparzeń, że wkrótce zmarł z ran. Próba w Fanjeaux miała jednak dotyczyć ksiąg, nie ludzkiego ciała, choć, jak twierdził Heine tam, gdzie pali się książki, wkrótce zacznie się palić także i ludzi.

Tym razem więc, jak to pokazuje obraz w Muzeum Prado, w obecności Dominika Guzmanu i katarów rozpalono wielki ogień, do którego wrzucono wszystkie księgi, notatki i zeszyty biorących udział w rozprawie. Pierre des Vaux-de-Cernay w swojej kronice zatytułowanej *Historia Albigensów (Histoire Albigeoise)* z XIII wieku opisuje sprawę tak: „W tamtym czasie wydarzył się cud, który uważamy za godny tu wspomnienia. Było to dnia, kiedy wielu z naszych poprzedników, ludzi niezwykle religijnych dyskutowało z heretykami. Jeden z naszych, Dominik, człowiek doskonałej świętości, będący towarzyszem biskupa Osma, spisał wszystkie argumenty używane w trakcie dyskusji i oddał te zapiski heretykowi, aby mógł z nimi się pospierać. W nocy, kiedy heretycy zebrali się w domu i usiedli przy ogniu ten, któremu Dominik dał papiery wyjął je w środku dyskusji. Jego towarzysz powiedział mu, żeby rzucił je w ogień: jeśli papier spłonąłby, byłoby to znakiem, że wiara (a raczej perfidia) heretyków jest prawdziwa, lecz jeśli nie spłonąłby, uznaliby za właściwą wiarę naszych poprzedników. Co więcej mogą powiedzieć? Wszyscy się zgadzają i papiery są wrzucone w ogień. Lecz po chwili przebywania pośród płomieni, wyskakują stamtąd zupełnie nienaruszone. Wobec zdumienia obecnych jeden z nich, bardziej zatwardziały niż pozostali, powiedział im: «Rzucmy znów papier do ognia i w ten sposób dokładniej doświadczymy prawdy». Papiery są ponownie wrzucone w ogień i ponownie zeń wychodzą bez szkody, co widząc ów heretyk, zatwardziały i opieszały w wierze (Łukasz, XXIV, 25) mówi: «Rzucmy je jeszcze po raz trzeci i w ten sposób bez żadnej wątpliwości poznamy wyjście z sytuacji». Papier jest wrzucony w płomienie po raz trzeci i nie tylko nie płonie, ale wyskakuje wysoko ponad ogień zupełnie nietknięty.

Heretycy jednak pozostali niewzruszeni pomimo tak wyraźnych znaków i wciąż bardzo odlegli od nawrócenia, wydali sobie wzajemnie zakaz powiadomienia naszych o tym cudzie, ale jeden z rycerzy, który był z nimi i który skłaniał się nieco ku naszej wierze nie chciał skrywać tego, co widział i rozgłosił rozlicznym.

Rzecz się zdarzyła niedaleko od Montreal, jak dowiedziałem się z ust nadzwyczaj świętego człowieka, właśnie tego, który dał papiery heretykom”.

Relacja Pierra to tylko jedna z wielu relacji na temat tego wydarzenia. W kościele Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Fanjeaux możemy dziś oglądać nadpaloną belkę stropową z pomieszczenia, w której odbyła się próba ognia. Obraz Pedro Berruguete oparty jest o inne relacje, opowiadające o publicznej próbie ognia, przy świadkach z obu stron widzących naocznie, że księgi i papiery katarów spłonęły, podczas gdy wielokrotnie wrzucane do ognia księgi i zapiski św. Dominika unosiły się wysoko ponad płomieniami, i pomimo tego, że przeniosły ogień na potężną belkę u sufitu, która częściowo się zwęgliła, same pozostały nietknięte. Papiery i książki fruwały ponad płomieniami, a następnie lądują bezpiecznie z dala od paleniska.

To oczywiście nie jedyny z wielu cudów przypisywanych Guzmanowi, które zostały przedstawione przez artystów – do dziś jego działalność jest inspiracją dla malarzy, pisarzy i rzeźbiarzy. W tym samym Fanjeaux, w klasztorze Świętej Marii z Prouille znajduje się cała seria obrazów zamówionych niegdyś przez przeorów zakonu w Trewirze przedstawiającą cuda św. Dominika. Na jednym z nich, autorstwa niejakiego Verotiousa, widzimy mnicha, smoka czy raczej paskudnego węża i siedem kobiet. To św. Dominik pokazujący diabła siedmiu katarskim damom. Według artysty miał im w ten sposób naocznie zaprezentować potworność religii, jaką wyznawały. Po tym, kiedy diabeł ukazał się w formie straszliwego smokowęża, niewiasty, złknięte, porzuciły herezję. Obraz łączy, według znawców życia świętego, w sposób nieusprawiedliwiony, dwie różne opowieści ze *Złotej legendy* Jakuba de Voraigne, pierwszą, kiedy to św. Dominik miał katarskim damom pokazać diabła wcielonego w czarnego kota, który miał oczy tak wielkie jak oczy wołu i drugą, kiedy miał przy innej okazji pokazać mniszkom diabła w postaci dwugłowego i dwuogonowego smoka. Tak, czy inaczej, to właśnie z diabelską herezją walczył Dominik.

Scena cudu z książkami jest odtworzona także na wspaniałym sarkofagu św. Dominika w Bolonii, w bazylice pod jego wezwaniem, gdzie możemy oglądać kilka rzeźb przedstawiających najważniejsze i najbardziej cudowne wydarzenia z jego życia. Wykonanie sarkofagu zlecono rzeźbiarzowi toskańskiemu Nicoli Pisano (czyli Mikołajowi z Pizy), a rzeźby wykonali uczniowie jego szkoły.

Domenigo Guzman, znany jako św. Dominik, został kanonizowany przez swego przyjaciela z czasów krucjaty przeciwko albigensom, papieża Grzegorza IX, 3 lipca 1234 roku w Rzymie. Zmarł w Bolonii 6 sierpnia 1221 roku tam, gdzie mieszkał, w klasztorze San Niccolo delle Vigne, przebudowanym później w bazylikę San Domenico. Jak podają źródła, kazał pochować się „pod stopami braci” oczywiście dominikanów, zakon już bowiem wówczas istniał. Ponieważ przy grobie dokonywały się liczne uzdrowienia, a bracia nie chcieli ich należycie honorować, dokonano przeniesienia jego szczątków do grobowca marmurowego.

Oddaję głos błogosławionemu Jordanowi z Saksonii, prezbiterowi dominikańskiemu, następcy zakonnemu Dominika. Pisze on w listach do swoich współbraci zakonnych: „Nadchodzi wreszcie sławny dzień uroczystego przeniesienia wielkiego nauczyciela! Przybywa czcigodny arcybiskup Rawenny i wielka liczba biskupów i prałatów. Przybywa mnóstwo pobożnych ludzi z różnych narodów. Przybywają zbrojne hufce bolończyków czuwających nad tym, aby nie odebrano im opieki nad świętym ciałem. Bracia stoją niespokojnie, błędą i modlą się z lękiem, drżąc ze strachu tam, gdzie bać się nie ma czego. Lękają się, by ciało świętego Dominika, tak długo wystawione na działanie deszczu i upału, złożone w lichej trumnie, nie okazało się pełne robactwa, jak każdego innego śmiertelnika, i aby wstrętny odór nie dotarł do obecnych tam ludzi, a poprzez to nie przyćmił czci tak wielkiego męża.

Zbliżają się nabożnie biskupi oraz ludzie z narzędziami do pracy. Zrywają płytę kamienną zespojoną z grobem twardym cementem, pod którym była drewniana trumna przykryta ziemią, od czasu kiedy czcigodny papież Grzegorz, ówczesny biskup Ostii, pochował święte ciało. W trumnie ukazał się mały otwór. Po zerwaniu nagrobnej płyty z otworu zaczyna się wydobywać przedziwny zapach, którego woń zadziwia wszystkich tam stojących. Zdumiewają się obecni i przerażeni tym upadają na ziemię. Potem słychać pełen słodczy płacz, mieszający się z radością. Słodycz cudownego zapachu sprawia, że w przestrzeni ducha rodzą się strach i nadzieja, a ci, którzy odczuwają słodycz przedziwnego zapachu, toczą cudowne boje.

I my czuliśmy słodycz tej woni i świadczymy o tym, co żeśmy widzieli i czuli. Chociaż długo i wytrwale staliśmy przy ciele Dominika, nie mogliśmy się nasycić tak wielką słodyczą. Jeśli ręka, pasek lub inna rzecz dotknęła jego ciała, ów zapach pozostawał na niej jeszcze bardzo długo. Ciało przeniesiono do grobowca z marmuru, aby je tam złożyć wraz z jego wonnościami. Cudowny zapach unosił się ze świętego ciała, dając wszystkim dobitne świadectwo, że ten człowiek był dobrą wonią Chrystusa [...]. [Działo się to w mieście Bolonii, 24 maja roku łaski 1233, gdy na Stolicy Rzymskiej zasiadał Grzegorz IX, a cesarstwem rządził Fryderyk II, na cześć naszego Pana, Jezusa Chrystusa i jego najwierniejszego sługi, świętego Dominika].”

Kto uniół w powietrze pisma i księgi Dominika i ocalił je od spalenia, spopielając równocześnie katarskie bluźnierstwa? Kim są owi katarzy, ta szatańska herezja? Dziś, szukając informacji o nich na katolickim portalu Sekretariat Fatimski możemy przeczytać między innymi: „Kiedy czytamy o tej herezji, mamy wrażenie, że w naszej księdze przewróciliśmy pomyłkowo zbyt wiele kart i czytamy o wydarzeniach nam współczesnych. Ale nie – katarzy, inaczej albigensi, żyli w XII w. Ich herezja była bardzo przewrotna, głosiła bowiem oczyszczenie obyczajów i reformę Kościoła, przyciągając do siebie ludzi gorliwych i bezkompromisowych. [...] Ponadto katarzy byli mistrzami propagandy – czynili z występków kleru publiczne skandale i wykorzystywali je dla własnych celów.

Tak samo postępują dzisiejsi heretycy reformatorzy Kościoła nagłaśniając w mediach grzechy duchownych.

Pod apelem albigensów o oczyszczenie Kościoła kryła się nauka całkowicie sprzeczna z chrześcijaństwem. [...] Heretycy uczyli, że to nie Bóg, ale diabeł stworzył widzialny świat, i stąd tyle na nim cierpienia i grzechu. [...] Albigensi głosili naukę opartą na wczesnochrześcijańskiej herezji manicheizmu o istnieniu dwóch najwyższych istot: Dobra i Zła; pierwsza rządzi sprawami ducha, a druga – materią. Konsekwentnie negowali wszystko, co jest związane z materią: jedzenie, picie, prokreację, posiadanie dóbr ziemskich. Głosili skrajną ascezę, a nawet zachęcali do ostatecznego aktu porzucenia materii, jakim było dla nich samobójstwo (i pozbawianie życia najbliższych, nawet małych dzieci). Świat, który chcieli stworzyć nosił wszelkie cechy „cywilizacji śmierci”, której dziś tak mocno przeciwstawia się Papież, a która okazuje się niezwykle oporna na wszelkie działania i wszelką argumentację. [...]

Herezja albigensów okazała się trudna do pokonania. Bezskutecznie walczyli z nią wysłani do południowej Francji cystersi, wyśmiewani za swą otyłość i brak ascezy. Niepowodzeniem skończyła się nawet misja św. Bernarda z Clairvaux. Nawrócenie heretyków okazało się tym trudniejsze, że wyznawany przez nich dualizm stał się niebawem ruchem społecznym i politycznym, wywołując zamieszki i krwawe powstania. Nie pokonała go nawet pierwsza krucjata zwołana przez Kościół katolicki w 1181 r. Próżna okazała się misja papieskich legatów i kaznodziejów z 1206 r. Kiedy wysłannicy papieża spotkali się ze św. Dominikiem, ten wyjaśnił, że heretyków można pokonać tylko jedną bronią: ascezą przewyższającą ich wyrzeczenia. Niebawem okazało się, że on również nie miał racji.

Dominik przez wiele lat działał gorliwie, ale zupełnie bezskutecznie. Na nic zdawały się płomienne kazania, próby indywidualnych rozmów, nieustanne wędrówki po krainie opanowanej przez średniowieczną „cywilizację śmierci”. Święty Dominik zwalczał albigensów jeszcze surowszym trybem życia i pogardą dla ciała: «Jak gdyby klin klinem wbijał, pościł... o chlebie i zimnej wodzie, nocą czuwał». Heretycy podziwiali Dominika, ale obstawali przy swoim”.

Tyle Sekretariat Fatimski. Doskonali – ci, którzy przyjęli *consolamentum* i katarski chrzest, wstrzymywali się także w ostatecznych przypadkach od przyjmowania pokarmów, skazując organizm na skrajne wycieńczenie. materia była dla nich więzieniem.

Zbigniew Herbert w doskonale znanym eseju o albigensach z *Barbarzyńcy w ogrodzie* tak pisze o katarach, powołując się na współczesnych mu badaczy: „Dla katarów Bóg cierpi wskutek zła, ale nikogo nim nie karze. dziełem szatana, upadłego, pierworodnego syna boga jest świat zmysłowy, a także człowiek, który jest aliażem bytu i nicości. Piekła nie ma, są natomiast reinkarnacje, w czasie których jednostka gubi swoją cielesność, wspina się do światła lub pogrąża w złej materii. Katarowie odrzucali Stary testament (Bóg Mojżesza był dla nich synonimem Demona) i uważali Ewangelię za jedyną księgę wartą czytania i rozmyślań. [...] Kościół katolicki uważali za instytucję szatańską, babilońską wszeteczną. Końcem świata miał być kosmiczny pożar”.

Do grzechów katarów dodajmy jeszcze – tylko w przypadku Doskonałych – wstrzymanie się od jedzenia mięsa (ze względu na wiarę w metempsychozę), od przemocy i od aktywności seksualnej.

Portal Rodzina Katolicka daje dziś taki cytat z książki *Święty Dominik* Mary Fabian Wyndeatt: „Choć wydawało się, że jego modlitwy pozostają bez odpowiedzi, Dominik nie tracił nadziei. Pomiedzy nim a księciem Szymonem de Montfort (wodzem krzyżowców) powoli kiełkowała przyjaźń i dwaj mężczyźni coraz częściej spędzali po kilka dni w swoim towarzystwie. Dominik czuł się w obowiązku brać czynny udział w konflikcie z albigensami. Oczywiście, nie uczestniczył w bitwach, lecz będąc uczonym księdzem, który nie ograniczał się do służby Bożej w klasztorze, uległ namowom by podróżować z armią Szymona i pełnił obowiązki sędziego wobec heretyków wziętych do niewoli. Do jego obowiązków należało też przywracanie wiary katolickiej w zdobytych miejscowościach. Poza tym czynił wiele dobrego dla żołnierzy Szymona, pomagając im trzymać się zasad chrześcijańskich”.

Jeśli katarowie byli przedstawicielami cywilizacji śmierci, czyimi wysłannikami byli katolicy krzyżowcy, wezwani do wyprawy przeciwko katarom przez papieża? Wkrótce

poddają on przecież całą Langwedocję próbie ognia. Najpierw podchodzą pod Beziers i żądają wydania dwustu dwudziestu osób związanych z herezją, a kiedy mieszkańcy odmawiają, (tu oddam jeszcze głos Zbigniewowi Herbertowi w sprawie pierwszego miasta, które stanęło im na drodze, Beziers i ostatniego, Montsegur: „W katedrze St. Nazaire, w kościołach Św. Magdaleny i św. Judy gromadzi się ocalała ludność. drzwi zostają wyważone i żołądactwo wpada do środka mordując wszystkich, niemowlęta, kobiety, kaleki, starców i księży, odprawiających w tym czasie nabożeństwo”.

Ocenia się liczbę ofiar masakry w Beziers na 30 000 ludzi. To tam legat papieski, Arnaud Amary, na uwagę, że pośród mordowanych mogą być także katolicy, miał odpowiedzieć słynne „Zabijajcie wszystkich, Bóg rozpozna swoich”. Zbigniew Herbert: „Słynne to powiedzenie większość historyków uważa za apokryf [...]. Być może, że Arnaud Amaury, człowiek tępy raczej niż cyniczny, wypowiedział tylko połowę zdania”.

Po zdobyciu i rzezi dokonanej przez katolików, Beziers zostaje spalone wraz z katedrą i kościołami. W jakiś czas potem krzyżowcy na czele z Montfortem zdobywają Minerve, miasteczko w górach, figurujące dziś w katalogach jako jedno z najpiękniejszych miasteczek Francji. Palą tam potem na stosie, jak podaje Herbert, sto czterdzieści osób. W Lavur próbie ognia zostaje poddane czterysta osób, kobiet, dzieci i mężczyzn, na gigantycznym stosie, ale żadna siła nie unosi w powietrze nikogo żywego. Podobnie w Montesgur, ostatniej twierdzy katarów, po którego poddaniu zwycięzcy spalili żywcem w specjalnie zbudowanej do tego celu z palisady zagrodzie około dwustu osób. Nic, oprócz krzyków nie unosi się ponad płomieniami.

Inny obraz Pedro Berruguete, zawieszony w zakrystii kościoła Świętego Tomasza w Avili, przedstawia św. Dominika przewodniczącego *auto da fe*, czyli spaleniu na stosie heretyków. Obraz, który powstał pod koniec XV wieku, przedstawia również wydarzenie legendarne.

Kto unosi książki ponad płomieniami? A kto sprawia, że książki jednak giną w płomieniach? W Chinach palono pisma konfucjańskie, a nauczycieli konfucjanizmu zakopywano żywcem, palono pisma epikurejskie w Grecji, palono pisma chrześcijańskie i żydowskie w Rzymie za cesarza Augusta i za Dioklecjana, palono pisma ariańskie za pierwszych biskupów katolickich w Hiszpanii, w Aleksandrii spalono kilkakrotnie bibliotekę, pełną manuskryptów i zwojów, raz przez Rzymian, potem przez chrześcijan i jeszcze raz przez muzułmanów. Kilkakrotnie palono pisma sybillijskie. Oktawian August każe spalić ponad 2000 woluminów wyroczni i przepowiedni już w pierwszym roku naszej ery. Święty Paweł pali w 56 roku w Efezie manuskrypty i zwoje pism, które uznał za dziwaczne, między innymi pisma Apoloniusza z Tiany. Mnisi irlandzcy palą w 7 wieku ponad 10.000 zwojów pism runicznych, aby pogrzebać cywilizację celtycką. W 728 roku Leon Ikonoklasta, cesarz Bizancjum każe spalić ponad 300.000 starożytnych rękopisów. W 1562 roku w Mani na Jukatanie Biskup Diego de Landa kazał spalić 27 rulonów zawierających pisma Majów i Azteków, uznając te nieczytelne znaczki za świadectwo zabobonu i wpływu diabelskiego.

Po rewolucji gutenbergskiej i upowszechnieniu druku palenie książek stało się trudniejszym i bardziej symbolicznym zadaniem, coraz trudniej było spalić wszystkie kopie. Najgroźniejsze było spalenie rękopisu przed opublikowaniem książki. Odtąd będą sporządzane indeksy ksiąg zakazanych. „Tam, gdzie pali się książki, wkrótce zaczną się palić ludzi” – to cytat z dramatu Heinego odnoszący się do palenia muzułmańskiego Koranu przez hiszpańską inkwizycję. Oczywiście także książki Heinego spłonęły na stosach w nazistowskich Niemczech. Czeski jezuita, Antonin Konias, jeszcze w XVIII wieku chwalił się, że własnoręcznie spalił 50.000 czeskich książek, ponieważ niemal wszystko, co napisano po czesku od początku XV wieku uznane było przez niego za heretyckie. Według niektórych zapisków nawet w Lublinie w czasie kontrreformacji, około 1600 roku publicznie spalono

wierszowany traktat Sebastiana Klonowica *Victoria deorum*. Niestety, tekst nie zachował się do dziś w żadnym egzemplarzu.

Spalona przez Niemców po powstaniu warszawskim Biblioteka ordynacji Zamoyskiej miała około 120.000 rękopisów, starodruków i książek. W Pałacu Krasińskich możemy wciąż zobaczyć tę urnę z popiołami bezcennych rękopisów. Bezcenna urna z bezcennym popiołem nie do odczytania, nienadającym się do niczego, może oprócz użyczenia ziemi, z której wyrosną krzaki pokrzywy. Palił książki Pinochet w Chile, Państwo Islamskie dziś pali książki. Najbardziej spektakularnym wyczynem ostatnich lat była akcja uratowania przed dżihadystami 300.000 manuskryptów z bibliotek w Timbuktu, w afrykańskim Mali. Wszystko to ukazuje, jaką polityczną moc miała książka i wciąż jeszcze ma przynajmniej w niektórych częściach świata. Jeszcze przez moment.

Po co Schulz napisał *Mesjasza*? Historia tej książki jest isticie mityczna. Pierwsze jej zdanie, według Artura Sandauera brzmiało: „Wiesz – powiedziała mi rano matka. – Przyszedł Mesjasz. Jest już w Samborze”. Książka zapowiadana jako historia Mesjasza, którego widziano już w Samborze i okolicach, już 30 kilometrów od Drohobycza, istniejąca w wielu listach i wspomnieniach, widziana tu i ówdzie jako maszynopis, tajemniczo zaginiona i wciąż szukana po śmierci Schulza. Na jej ślady Ficowski natrafiał raz po raz, a ślady te były zostawiane jakby specjalnie przez wielkiego scenarzystę kryminalnej opowieści. tajemniczy spadek i tajemniczy ocalały krewny w Ameryce, tajemnicza zaginiona paczka, niewyjaśniona śmierć na chwile przed objawieniem tajemnicy, jakiś szwedzki dyplomata mający dostęp do supertajnych archiwów, przewożący w poczcie dyplomatycznej, zapieczętowane papiery z nadrukiem „ściśle tajne”, zgubione tropy, zagubione paczki, teczki, torby, KGB i NKWD, Gestapo, przepastne archiwa moskiewskie czy berlińskie, może prywatna kolekcja, a w niej jakaś zakurzona koperta z nierozpoznanym arcydziełem nieznanego autora, z tymi rysunkami na marginesie, których nie sposób pomylić z nikim innym. Wreszcie ta piwnica i to podwórze na Leśnej, na nim ognisko i płonące szpargały. Po co Schulz napisał *Mesjasza*?

Ten motyw – męczenia się w formie, zakłętej przez demiurga materii, pokracznych istnień, chcących się wyzwolić z kokonów, owych cierpiących niewygodę istnienia manekinów – czy odnosi się on także do samego Schulza? Wątpliwa psychologia twórczości, jakaś psychoanaliza na podstawie listów, rysunków, tematów na pewno odpowiedziałyby twierdząco na to pytanie. Po co miał nadejść Mesjasz do Drohobycza, do miejsca, z którego Schulz nigdy nie uciekł, choć miał plany dotyczące Warszawy, Wiednia, Lwowa, Paryża, ba, nawet Moskwy. Nie uciekł, ale zbudował sobie inny Drohobycz, „Republikę marzeń”, mityczną krainę poza czasem, na skraju mapy, na i poza marginesem świata. Gdzieś tam. Tam też umieścił *Mesjasza*. Czy Mesjasz, przychodząc do Drohobycza, miał wyzwolić go jako Żyda, jako pisarza, mężczyznę? Jako nieszczęśliwego człowieka, czy jako uwięzionego w pokracznej materii ducha?

Moim zdaniem pytanie brzmi: czy Schulz w ogóle napisał *Mesjasza*? Powiedział nam, abyśmy czekali. Oczekujemy jego objawienia jak hipostazy, jak Żydzi oczekujący swego Mesjasza, żyjąc tą nadzieją z roku na rok, żywiąc się nią w czasie największych nieszczęść. Jeśli nie napisał tej książki, pozostawiając nam liczne ślady, nakazujące poszukiwania i oczekiwanie, umieścił ją w perspektywie eschatologicznej, może kosmologicznej, gdzieś tam, gdzie znajduje się jego samego dom, w micie, w wieczności, w krainie ksiąg i liter. Mesjasz zostaje zrównany z Księżą, to Księża ma nas wybawić, zbawić świat. Czekajmy, miejmy nadzieję. Historia tego czekania staje się także wcieleniem idei Powtórnego Przyjścia, zstąpienia Chrystusa na ziemię dla chrześcijan. Nawet jeśli Schulz jej nie napisał, pozostawił nam wiarę, że ona jest i przyjdzie. Ilekroć będziemy przypominać sobie o tym i odnawiać nadzieję, tyle razy żyć – gdzieś tam, w micie, w domu, daleko – będzie Schulz. Szukajmy książki, czekajmy na nią, czekajmy na przyjście Mesjasza. Dopóki czekamy,

wszystko ma jeszcze sens. Sens życia w oczekiwaniu na Mesjasza. Dopóki czekamy, żyje Schulz i żyjemy my.